



## George Zebrowski Słowotop

Gdy Felix przybył na przyjęcie, słowa pokrywały podłogę gęsto jak opadłe liście. Kwadrans po jedenastej w pokoju powinna panować cisza.

- Milczeć! - wrzasnął nie mogąc się pohamować.

Słowo uformowało się w powietrzu i opadło do jego stóp. Głucha para w kącie wciąż rozmawiała ze sobą na migi. Wszyscy nań patrzyli i poczuł, jak mu się ściska żołądek. Ciszę powinien był nakazać gestem, nie wrzaskiem.

Podeszła doń drobna kobieta o wielkich brązowych oczach i podała mu szklaneczkę. Łyknął. Wódka. W ten sposób kobieta mu oznajmiła: tak, wiemy, że masz parszywą robotę nadzorując reglamentację gadania. Obstawianie przyjęć dla chleba to żadna frajda, biedny sukinsynu. Wiemy.

Głowy pochyliły się, wyrażając aprobatę dla gestu kobiety.

Felix próbował się uśmiechnąć, zawstydzony faktem, że stracił zimną krew. Potem się odwrócił i wyszedł w chłodną październikową noc.

Na końcu przecznicy kompaktor czekał, aż zmioty wyczyszczą narożny dom. Felix rad był, że nie pracuje w centrum miasta, gdzie sprawy wymykały się zawsze spod kontroli, gdzie paplanina pogrążała całe kwartały na głębokość dwóch albo trzech metrów.

Głęboko zaczerpnął powietrza. Pilnowanie pięciu przedmiejskich ulic nie było takie złe szczególnie dlatego, że co miesiąc zmieniano mu trasę obchodu, przez co nie miał szans, by zaprzyjaźnić się zbytnio z właścicielami domów.

Ucisk w żołądku zmalał. Przynajmniej to przyjęcie nie przysporzyło mu żadnych kłopotów. Sam widział, że goście, dumni ze swych dobrych głów do picia i milczenia, próbowali zachować umiar, mówiąc w ciągu wieczoru tak mało, jak to tylko możliwe. Nie dostrzegł żadnych gaduł siedzących na stosie słowopadków. To była dobra przecznica, o wiele lepsza od tej z ubiegłego miesiąca.

Przez pustą ulicę przebiegł pies. Felix zwrócił uwagę, że ma kaganiec. Wszystko w porządku.

Mijając kompaktor, który włączywszy światła pogrążył się bezgłośnie w następną przecznicę, powoli ruszył w stronę domu. Dwa skrzyżowania dalej skręcił w bok, by uniknąć przejścia przez lokalny plac, który wciąż uprzątano po wiecu politycznym.

Na ekranie telefonu była dlań wiadomość:

**Poracjonujmy razem, kiedy wrócisz do domu.**

**Przyoszczędzę swój.**

**Całuję, June.**

Rozzłościły go te słowa, budząc na nowo uścisk w żołądku. Oczyszczył ekran, mając wiadomości za złe, że zburzyła uspokajający efekt jego długiej przechadzki do domu.

Wszedł do sypialni i położył się. Przy pewnym wysiłku mógł nieomal przypomnieć sobie owe czasy, gdy słowa jeszcze się nie materializowały. Miał może cztery albo pięć lat, gdy wydarzyło się to po raz pierwszy. Wspominał te obiekty cienkie jak wafle, litery połączone ze sobą w tak wielu różnych stylach, jak wielu było mówców.

Zrazu rzecz była nowinką, potem nieustanną zamięcią. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku miasta musiały sprzątać po codziennej klęsce żywiołowej, wywożąc słowa do pieców i na usypiska. Słowa płonęły tylko w wysokiej temperaturze i nawet wówczas wydzielały toksyczny gaz, który należało magazynować. Powstał projekt wykorzystania tego gazu, ale samo spalanie wymagało zbyt wielkiej energii, żeby przedsięwzięcie miało sens; później stwierdzono, że gaz jest beużyteczny.

Kuracje psychiatryczne utknęły w martwym punkcie, by przybrać wreszcie postać wydruków komputerowych i terapii niewerbalnych. Filmy na powrót stały się nieme i podpisywane; tylko najzamożniejsi mogli sobie pozwolić na wywożenie pozostałości po jakimkolwiek seansie mówionym. Opery wystawiano w aranżacjach muzyczno-mimicznych.

Felix rozwarł oczy i usiadł po ciemku. Gdzieś w oddali po ulicach przebiegał dewiant. Ledwie słyszał jego skowyt, ten jednak był na tyle głośny, by mu przypomnieć czasy, kiedy sam był dewiantem.

Niezdolny zapanować nad sobą, pod gigantycznym więzaniem na obrzeżach miasta nieomal pogrzebał się w słowach. Wyciekały zeń, jakby próbując przewyższyć liczebnością gwiazdy, on zaś trzymał się za brzuch i wyrzaskiwał plugastwa.

Wyjaśnił mu to później Bruno Black, który był zupełnie dorosły, zanim odmienił się świat. To milczenie, przeciągłe, brzemienne myślami milczenie, złamało jego panowanie nad sobą, tak samo, jak uczyniło to niezliczonej rzeszy innych. Napadła go pewnego dnia potrzeba nieopanowanego gadulstwa i przewaliwszy się przezeń jak wichur odebrała mu zdrowy rozsądek, obdarzyła swobodą paplania, stłamsiła dowcip i umiar, uczyniła z jego ust rzekę rwącą powodziową falą słów... i w końcu ów boski nonsens przeczyścił mu umysł.

Teraz, słuchając skowyczącego w mroku odległego dewianta, znów doświadczył pokusy rzucenia paru krótkich słów; wyrastała wokół niego dżungla, grożąc unicestwieniem całej jego samokontroli, gdy tylko

zapadnie w sen, kusząc rozkoszami większymi niż milczenie...

Odległy dźwięk umilkł. Złapali go. Samson, Winkle, Blake - wszyscy strażnicy ulic zbiegli się w miejscu eksplozji, by ją stłumić. I słowozmioty sprzątały już, prasowały, wywoziły na wysypiska.

Zastanawiał się przez moment, czy nie mógł to być Bruno, ale zaraz odrzucił tę myśl: głos Brunona był dużo niższy. Mogła to być kobieta. Felix rozluźnił się i na powrót położył.

Obudził się w nocy i podszedł do biurka. Dostrzegł rozjarzony ekran telefonu i przypomniał sobie wiadomość od June. Nowa wiadomość mówiła:

**Ty sukinsynu!**

**Odpowiedz, na rany boskie.**

**Czy Bruno znów jest z tobą?**

**Co wy robicie we dwóch?**

Oczyścił ekran i włączył lampę na biurku. Potem usiadł i wyjął dziennik Brunona. Popatrzył nań w świetle lampy, przypominając sobie, jak wiele przez te lata przyniósł mu ulgi. Drżały mu palce. Wewnątrz, na stronicach, były wszystkie rzeczy, które chciał wypowiedzieć, ale to Bruno je zapisał.

Otworzył na chybił trafił spojrzął na schludne pismo. Bruno nie był wielosłowny, nawet na papierze, gdzie gadulstwo nie stanowiło zagrożenia. Same zaś litery były kształtne, a zdania przemyślane i klarowne. Gdyby ktoś je odczytał na głos, nie przekroczyłby swej racji dziennej.

Przeczytał wczesny zapis:

*23 lipca 1941 r.*

*Gdy słowa poczęły się materializować, różnica między językiem a rzeczywistością fizykalną uległa zaćmieniu. Pojawienie się słów mówionych w rozmaitych, zależnych od artykulacji mówcy, kształtach i rozmiarach narzuciło stan wyjątkowy milczenia, poparty zrazu w niektórych częściach świata wymierzaną cichaczem karą śmierci. Postęp materializacji należało uciąć za wszelką cenę, w przeciwnym bowiem razie świat pogrążyłby się w totalnej depresji ekonomicznej...*

Depresja przyszła i minęła, pozostawiając po sobie nowy kodeks postępowania, słowozmioty, kompaktory i strażników ulic - oraz tajemnicę głębszą niż sam fakt istnienia. Bruno miał pewność, że musi być jakieś wyjaśnienie; dziennik prezentował dwadzieścia lat spekulacji poświęconych temu problemowi. Możliwość istnienia takiej odpowiedzi, myślał Felix, to jedyne, co utrzymuje mnie w kupie. Nie wiem, co zrobię, jeśli Bruno nie wróci.

Ktoś zaczął walić do drzwi wejściowych. Felix wstał i poszedł sprawdzić. Otworzył drzwi i wkroczyła June - minąwszy go podążyła do

salonu, gdzie włączyła wszystkie światła.

Zamknął drzwi i stawił jej czoła.

- Traktujesz mnie, jak gdybym wcale nie istniała! - wrzasnęła. "Mnie" było delikatne: opadłszy na dywan rozsypało się w kawałki.

"Traktujesz" wyglądało jak łańcuszek i zastukotawszy w stolik do kawy wytworzyło jeszcze kilka nonsens-mas, nim ostatecznie zamarło. "Jak" przemknęło obok niego niczym jaskółka i rozwaliło się o ścianę, produkując jeszcze trochę nonsens-masy. "Gdybym" osiadło z wolna na dywanie; "wcale" wbiło się w wełnę tuż obok niego. "Nie" oraz "istniała" zderzyły się w powietrzu, rozsiewając swoje litery.

Felix rozłożył ramiona lękając się mówić, pełen obaw, że w każdej chwili jego dewiacja wyślizgnie się z mroku w głębi jego istoty i zapanuje nad nim. Czyż ona nie wie, jak ciężkie on, Felix, prowadzi życie? Mówił jej setki razy. Wyraz litości począł się formować na jej piegowatej twarzy, przywodząc mu na myśl brązowooką kobietę, która poczęstowała go wódką; ale raptownie zniknął. June odwróciła się i podążyła ku drzwiom.

- Z nami koniec! - wrzasnęła wychodząc. Słowa wisały jeszcze w powietrzu, gdy zatrzasnęła za sobą drzwi, spadły więc koło wieszaka. Spojrzał na wytworzone przez jej stukanie nonsens-masy, przepiękny wdzięcznością, że drzwi są solidnie wyściełane.

Pozwolił sobie na westchnienie - w myśli - i usiadł w fotelu przy lampie. Przynajmniej znikną teraz napięcia, jakkolwiek mocno będzie za nią tęsknić. Wkrótce, jak wiedział, będzie musiał ruszyć na poszukiwanie Brunona. Zegar nad kominkiem pokazywał czwartą rano.

Włączył radio i słuchał łagodnej muzyki. Nuty formowały się, by wyparować jedna po drugiej. Włączył się klawikord i migotliwy żywot jego dźwięków był nieco dłuższy. Długo patrzył, jak powstają i nikną, dumając, co również tak często czynił w swym dzienniku Bruno, jakie wcielenie kosmicznej sprawiedliwości pozwoliło przetrwać muzyce. Gdy sonata Scarlattiego potężniała ku finałowi, krystaliczne dźwięki nadbiegały coraz szybciej i szybciej, osypując pokój rozedrganymi nutami...

June nigdy Brunona nie lubiła; nie miała w sobie mroku. Jak ci, co zapominali o samoświadomości rodzonej przez mowę, nie potrzebowała mówić. Wyłączył radio i zastanawiał się, czy jego sąsiad przez ścianę, pan Seligman, pogrąży się teraz w słowach wyrzucanych przez sen.

Ile dzieci śpi w swych ćwiczebnych kagańcach aż do czasu opanowania samokontroli?

Jego dłonie znowu zaczęły drżeć. Pragnienie, by przemówić, narastało w nim niemal równie mocno, jak w dniach jego dewiacji. To wizyta June dała mu impuls; fakt, że ją utracił, miała nań większy wpływ, niż uprzednio sądził.

- June - powiedział miękko, pożądając jej.

Słowo było krągłe, litery połączone płynnymi łukami. Spłynęło na

dywan, on zaś podniósł je i wrzucił do wyłożonego filcem kosza na śmieci. Dłonie wciąż mu drżały. Powstawszy jął przemierzać pokój. Po paru minutach spostrzegł, że w sypialni jarzy się ekran. Przeszedł przez otwarte drzwi, usiadł przy biurku i przeczytał:

**Meldunek o zakłóceniach na wysypisku.**

**Sprawdź z rana, kiedy rozpoczniesz dyżur.**

**Webber**

Odbiło któremuś z pozostałych, pomyślał, i chcą, żebym go przyprowadził do domu.

Zmieniwszy koszulę i buty Felix wyszedł na zewnątrz. Odczepił rower od stelaża, wspiął się na popękane skórzane siodełko i jął pedałowac pustą ulicą. Zimne wilgotne opary unosiły się wokół parterowych podmiejskich domków. Paliła się tylko co piąta latarnia, a i te, w miarę jaśnienia nieba, poczynaly gasnąć. Oceniał, że dotarcie na wysypisko zajmie mu pół godziny. Pamiętał je jako wyschniętą równinę, z której wiatr unosił kłęby kurzu.

Wkrótce teren nie będzie w stanie pomieścić więcej słów ani śmieci; był zapelniony, tylko tu i ówdzie zdarzały się dziury. Należało znaleźć nowe miejsce.

Zbliżając się do wysypiska Felix spostrzegł niezwykłość murawy po obu stronach drogi. Słońce wyplnęło zza horyzontu na przejrzyste błękitne niebo i trawa zdała się nagle sfilcowaną sierścią zwierzęcą wyrastającą z czerwonej skóry. Kiedy stanął na pedałach, by pokonać wzgórze, wyczuł w powietrzu ostry, jakby cytrynowy odór.

Dotarłszy do szczytu stanął.

Wysypisko pokryte było drzewami, które wyglądały jak mech albo wysokie kalafiory. Ostry zapach był tu silniejszy.

Wsiadł z powrotem na rower i zjechał na dół.

Gdy się tam znalazł, spowila go cisza, jak gdyby dotarł do cichego środka świata. W miarę zbliżania się do lasu począł rozważać możliwość intensywnego programu zadrzewiania, ale zaraz pojął, że w tak krótkim czasie nie byłoby to rzeczą możliwą.

Minął pierwsze drzewa. Wydawały się bardzo świeże, jak kończyny młodych dziewcząt, podgięte ku górze, rozwarte zapraszająco; między gałęziami rósł miękki żółtozielony mech.

Coraz bardziej zaniepokojony pedałowal przed siebie, ale cisza była kojąca, uspokajała go. Cytrynowa woń drzew usuwała z jego głowy senność. Nagle wjechał na niewielką polanę i stanął o krok od krawędzi wielkiej dziury. Na dnie, otoczony rosnącą stertą słów, siedział gadający do siebie Bruno Black.

- Cześć, Bruno - słowa uformowały się i stoczyły po piaszczystym zboczu.

Jasnowłosa mężczyzna podniósł wzrok. - Zejdź na dół. - Słowa wyprysły z jego ust i wylądowały na stosie.

Felix zaczął schodzić.

- Tu jest bezpiecznie - wrzasnął Bruno. - Możemy mówić, ile się nam podoba.

Dotarłszy do masywnej siedzącej postaci Felix zauważył, że ubranie Brunona jest brudne i postrzępione.

- Pozwól, żebym cię stąd wyciągnął - rzekł Feliks. Uformowały się i spadły do jego stóp tylko trzy pierwsze słowa. - Zauważyłeś?

- Co się dzieje, Bruno?

Słowa nie uformowały się teraz wcale, jakby fenomen poczynał zamierać. - Tak jest tylko tutaj - powiedział Bruno. - Nigdzie indziej. Felix usiadł obok rumianolicego mężczyzny i obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Bruno... znasz mnie?

- Oczywiście, Felix, nie bądź durniem. Jesteś moim przyjacielem.

- Co tu robisz?

- Sądzę, że wykombinowałem - to wszystko, dlaczego tak się dzieje i dlaczego tu nie. - Trzy ostatnie słowa uformowały się, kalekie szare literki unoszone wiatrem jak dym.

Bruno odpędził je na bok niedźwiedzim wymachem łapy.

- Felix, może teraz naprawdę wiem. Nie jestem psych.

Felix posłyszał wiatr przewalający się nad jamą, jak gdyby coś wpadło w gniew. Przypomniał sobie boisko szkolne, wiele lat temu, i dzieci milcząco grające w kosza.

- Masz szpadel?

- Nie - odparł Felix - ale mogę przynieść.

Znów żadnych słów. Bruno wpatrywał się w niego.

- Cudowne, prawda?

- Bruno... jak długo tak tu jest?

- Od około miesiąca.

- To wszystko wyrosło w ciągu miesiąca?

- Drzewa wyrosły z zagrzebanych słów, Felix, bo to były brzemienne słowa...

Cisza między nimi była czysta, wolna od słów.

- To pojawia się i znika - rzekł Bruno. Wyłoniły się wszystkie słowa,

o literach sękatych jak gałęzie drzew, i opadły na kolana Brunona.

- Jest coś, co to powoduje - powiedział usuwając je. - Zakończymy całą sprawę, kiedy to coś znajdziemy. Kluczem do tego interesu jest szpadel.

W pewien sposób miało to sens.

- Na rozwidleniu drogi jest szopa z narzędziami - rzekł Felix. - Ale masz pewność, że jesteś w dobrej kondycji?

- Tylko wyglądam kiepsko.

Nie było słów. Felix borykał się z myślami wyłaząc z jamy. Bruno zdecydowanie na coś wpadł.

Bruno kopał dłońmi, kiedy Felix wrócił z dwoma szpadlami. Wrzucił je do dziury i zsunął się na dół.

- To, co stało się ze światem, nie może być naturalne - powiedział Bruno ująwszy szpadel i przystąpiwszy do kopania. Felix chwycił i kopali wsparci o siebie plecami.

- Dlaczego nienaturalne? - zapytał Felix.

- Może i mogło być... jakaś anomalia w geometrii przestrzeni formuje słowa reagując na wydawane przez nas dźwięki. Doszedłem do wniosku, że to nie jest naturalne i poszukiwałem zakątków, gdzie nie będzie występować. - Dlaczego się to wszystko zaczęło?

- Może była to sprawa polityczna - odparł Bruno. - Ktoś planował jakąś formę kontrolowania myśli, ale rzecz wymknęła mu się z rąk. Przed laty, sądzą, nasi politycy skontaktowali się w dalekim Kosmosie z obcą cywilizacją, może telepatycznie, i nauczyli się konstruować... pewne urządzenia. Może owa obca kultura uważała, że nauczy to nas bardziej precyzyjnego myślenia. - Roześmiał się. - To coś więcej niż poetyckie majaczenie, wiesz. Mowa w równym stopniu jak wytwarzanie narzędzi, jest bezpośrednio odpowiedzialna za rozwój naszej inteligencji i samoświadomości. Jesteśmy na tyle sprytni lub tępi, na ile sprawnie posługujemy się słowem. To automatyczne programy i nawyki paraliżują umysł, dogmatyczne labirynty...

Przerwał. - To nie ta jama, musimy spróbować gdzieś indziej.

Bruno może po prostu być szalony, pomyślał Felix, nic więcej.

- Chcąc wywrzeć wpływ na kulturę - ciągnął Bruno - nałóż ograniczenia na jej posługiwanie się mową i obserwuj, jak - w taki sam sposób, jak słuch u ślepców - rozwija się wrodzona wynalazczość.

Felix wygramolił się z jamy i pomógł wyleźć Brunonowi.

Po wysypisku hulał wiatr szeleszcząc osobliwymi drzewami, które, zdawało się, zyskują z wolna świadomość obecności intruzów... Wszędzie leżały opadłe liście. Jedne wydawały się przegniłe, jak stare zniekształcone monety, inne zwijały się w małe rurki. Wiatr dął, wirował nimi, rozrzucał, tracąc swą energię ruchu, by unieść je w

powietrze. Znow Felix doznał uczucia trwania na krawędzi świata. Zastanawiał się, co by pomyślała June, gdyby zobaczyła go tu z Brunonem.

Potem spostrzegł, że drzewa są, z pozoru, uformowane na kształt liter, pociętych i ułomnych, jak przypomnienie milionów pogrzebanych w ziemi słów.

- Kopmy pod jednym z drzew - zaproponował Bruno. Pięć słów wyleciało z jego ust; pochwycił je wiatr i zaniósł w gałęzie, gdzie rozsiały się jak drozdy.

Felix podszedł do najbliższego drzewa i zaczął kopać. Bruno doń dołączył. Słońce pięło się ku zenitowi.

- Próba - rzekł Bruno. Nie pojawiło się żadne słowo. - Może odmieniono coś w naszych umysłach, by powstało słowo, kiedy mówimy...

- Masz na myśli, że może nie być żadnej maszyny?

- Co to? - zapytał Bruno wskazując palcem.

Z ziemi wystawał krystaliczny pręt. Felix wszedł do dziury i kopał dalej; Bruno zaś odpoczywał. Z wolna wyłonił się skomplikowany mechanizm, sześcienny kształt ze szkliście metalicznych złącz, gmatwanina połyskliwych rurek i przegubów, lustrzanych powierzchni i masywnych brył.

- To jest... jak wielki wyrób jubilerski - powiedział Felix.

- Tego się obawiałem - rzekł Bruno. - Uważałem, że istnieje jakiś przekaźnik, generator, coś, co jak świat długi i szeroki zmienia słowa w przedmioty materialne. Miałem nadzieję znaleźć lokalną stację nadawczą tego systemu...

- Co to jest w takim razie?

Bruno złapał się za pierś i osunął na twarz łagodząc upadek szpadlem. - Jesteś chory - powiedział Felix, kucając obok niego.

- Moje serce... ale słuchaj. Mogę umrzeć, ale ty musisz usłyszeć. Wyraz obłędu pojawił się na twarzy Brunona, który jakby pojął, że jego zrozumienie prawdy jest wyższe od wszystkich otaczających go kłamliwych potęg. Podciągnął się do tyłu, aż usiadł na ziemi wsparty o drzewo, z jedną nogą w dziurze.

- Spróbuj się nie ruszać, pójdę po pomoc - powiedział Felix.

- Słuchaj! - Bruno uniósł dłoń do twarzy i potarł oczy. Potem spojrział na nieziemski artefakt i zaczął mówić niskim jedwabistym tenorem. - Ludzkość pogrążyła się we śnie. Może był to efekt jakiejś rozległej zapaści spowodowanej długim nadwężeniem umysłów od dawna przeciążonych jarzmem metafory i porównania, paradygmatu i tautologii - u istot, które marzyły o poznaniu wszechświata wprost, znużone inscenizowanymi szaradami, cieniami realnych rzeczy padającymi przez brudne okna oczu, wciskany przez hałaśliwe aleje



uszu...

Jego głos stał się płaczący i smutny. - Zniechęciła nas ślepotą dotyku, łgarstwo smaku i powonienia, rozczarował dziecinny nie-za-mały i nie-za-duży wszechświat wiedzy i niewiedzy, niespokojnej ucieczki z ignorancji we względne rozumienie, rozciągnięty mocno między ekstremami tego, co wystarczające i niewystarczające, między dużym i małym. Nie mając szansy na wszechwiedzę, nie byliśmy przecież tylko N i c z y m. Beznadziejność przepełniła miarę, wpędzając nas w tę zbiorową ułudę. - Zamknął oczy i na twarzy przyjaciela Felix dostrzegł łzy.

- Ale może to jarzmo obcych - powiedział Felix. - To już bym wolał, ale ta durna maszyna... Zakaszłał i przycisnął pierś.

- Bruno!

Felix chwycił szpadel i uderzył zdobną maszynę. Był to cios w imię obiektywizmu, wykuwający drogę do wszechświata poza ułudą, w imię położenia kresu męce brutalnych słów usiłujących się zeń wyrwać. Uderzył maszynę jeszcze raz; może ten cios odmieni coś w ludzkiej duszy.

- Nawet jeśli skończymy z tą - głośno wyszeptał Bruno - nie wiemy, w co jeszcze możemy się rozbudzić.

Felix uderzył maszynę po raz trzeci.

- To tylko projekcja naszych pragnień, Felix: znaleźć odpowiedź... Świat pomroczył i wiatr miotnął gałęzkami w nich i w maszynę. Urządzenie zapulsowało i znikło. Gałązki wydawały się węzami, kiedy Felix próbował się z nich wyswobodzić. Bruno wydał przerażający odgłos. Felix poczołgał się ku niemu i zajął mu w twarz. Oczy Brunona były szkliste, jak kryształ maszyny, i wpatrzone w otchłań.

- Widzę to - skrzeknął Bruno, a jego słowa drżały. Felix rozejrzał się dokoła. Na świat naciągnięto czarny wór.

- Co widzisz?

- Widzę to wszystko! - Słowa wibrowały, ale nie uformowały się.

- Ja nie widzę nic - ciemność była nieprzenikniona.

- Nieczułe... ślepe, nic tu po nas - wymamrotał Bruno.

Felix nateżył wzrok. Mrok pulsował. W uszach usłyszał skowyt, jego oczy pognały przez barwny chaos; w każdej chwili spodziewał się zderzenia z murem.

- Nic dla nas - mówił Bruno. - Tylko ograniczenia, poniżające kajdany zamiast woli, która może sięgnąć nieskończoności albo skupić się na najmniejszym...

Kontinuum chwiało się i Felix padał. Wkradał się weń chaos. Nie poczucie przypadku albo statystycznego nieładu podporządkowanego własnym prawom, ale bezduszna nieobliczalna płynność, okrutna,

niepohamowana, nieodwołalna - pulsujące podglebie rzeczywistości. Odbierał je sposobem jedynie możliwym, przez wąską szczelinę swych ograniczonych zmysłów szarą, nieziemską masę z jądra czasu, z serca duszy, wchłaniającą cały wszechświat, kosmicznego diabła w pudełku gotowego zawsze zadać kłam wszelkiej pozie, niepokonaną istotność, kontrolowaną tylko ułamkowo.

- Bruno! - zawołał, ale słowo urodziło się jako nonsens.

Mrok błedniał i dostrzegł Brunona siedzącego pod drzewem.

- Nic ci nie jest! - wrzasnął Felix z ulgą.

Bruno podniósł wzrok, ale zdawał się tkwić po drugiej stronie bariery. Wic wore tos repelton - powiedział z uśmiechem.

- Co?

- Repelton, tos?

Patrzyli na siebie, gdy ostatnia drobina informacji prześlizgiwała się przez most milczenia, odkrywając im sytuację.

Felix postąpił krok do przodu, ale Bruno cofnął się na pozór, jak gdyby ujęty w ramy i pociągany przez kogoś do tyłu.

Klatki, uświadomił sobie Felix. Umrzemy w samotności, o ile nie zdołamy dosięgnąć się nawzajem. Nigdy już nie dotknie June, ani nawet do niej nie przemówi; będą na siebie patrzeć przez niewłaściwy koniec lunety, próbując bełkotem nazwać na nowo rzeczy najprostsze. Nasze choroby, nasze pragnienie odmienienia świata, zdeformowały wszystko.

Bruno machał doń dłonią. - Tos? Wixwell, mamtom ono! - Potem wzruszył ramionami i dodał: - Prexel worbout it.

Felix zaklął, ale słowo było nie do odczytania, kiedy w dwóch egzemplarzach opadło na ziemię u jego stóp.

—

Przełożył Andrzej Ziembicki



powrót

